

Pamiętnik Literacki 2014, 4, s. 247-249



**Janusz Sławiński**  
**(15 marca 1934 – 1 listopada 2014) –**  
**„obecność pozorowana nieobecnością”**

Andrzej Skrendo

## JANUSZ SŁAWIŃSKI (15 marca 1934 – 1 listopada 2014) – „OBECNOŚĆ POZOROWANA NIEOBECNOŚCIĄ”

Nie będzie to wspomnienie – zbyt słabo znałem Profesora Janusza Sławińskiego. Nie będzie podsumowanie lub przypomnienie dorobku – w przypadku Janusza Sławińskiego byłby to gest nazbyt konwencjonalny i chyba zbyt czyny. Zaczę od zwierzenia: kiedy doszła do mnie informacja o śmierci Profesora, przypomniały mi się słowa Karola Maliszewskiego wypowiedziane po śmierci Czesława Miłosza. Spojrzałem na swoje półki z tomami poetyckimi, z pracami krytycznymi, z całym tym pieczołowicie zbieranym dorobkiem poetów i ich komentatorów – pisał Maliszewski – i poczułem, że wszystko to jakby zawisło w powietrzu. Straciło ciężar. Stało się wątpliwe, jakby bezzasadne, bardziej wywrotne, niepewne. Wiść o śmierci Profesora Sławińskiego wywołała u mnie podobne uczucie. Tak jakby świadomość Jego obecności, sama tylko możliwość zwrócenia się do Niego lub przywołania Go, odczucie, że w jakimś sensie stoi za mną wtedy, gdy zasiadam do pisania – nagle zostały utracone. Nie, nie chcę powiedzieć, że zawsze odczuwałem jakiś intymny związek ze Sławińskim (jak wspominałem – znałem Go słabo). Nie chodzi mi też (w każdym razie – nie tylko i nie przede wszystkim) o to, że często ponawiana lektura dzieł ulubionego autora sprawia, iż się z nim zaprzyjaźniamy, wdajemy w dyskusje, instynktownie posługujemy jego argumentami, parafrazujemy jego myśli, przejmujemy styl rozumowania. Bez wątpienia wszystko to mi się przydarzyło – bo lektura prac Sławińskiego to jak wchodzenie do jasnego pokoju. Rzecz jednak w czymś innym: w tym, że my, współcześni badacze, zwłaszcza teoretycy literatury, młodszy od niego o jedno (roczniki 50), dwa (roczniki 70) czy nawet już trzy pokolenia (roczniki 90, najmłodszy doktoranci) – pozostajemy dłużnikami Sławińskiego. Sławińskiego i całej grupy badaczy należących do generacji, której On był przywódcą. Jesteśmy dłużnikami nie tylko wtedy, kiedy odwołujemy się do Jego prac lub przyznajemy się do Jego patronatu, ale przede wszystkim z tego powodu, że poruszamy się w intelektualnej i instytucjonalnej przestrzeni, którą On współtworzył; używamy języka, który On projektował; jesteśmy beneficjentami wysokiej rangi teorii literatury, którą On budował; korzystamy z odziedziczonych kryteriów sensowności, zrozumiałości, porównywalności i przekładalności naszych wysiłków. Kiedy dowiedziałem się o śmierci profesora Sławińskiego, poczułem, jakby to wszystko zaczęło pękać. Jakbyśmy stali się bardziej bezbronni wobec coraz silniejszych żywiołów unieważniających naukę o literaturze oraz wartość samej literatury (bo nie można obronić tej pierwszej bez drugiej, ale – co ważne – i tej drugiej bez pierwszej).

Być Sławińskim oznaczało też jednak być w centrum ambiwalencji i stanowić przyczynę niepokoju. Fundator dyskursu – to także jego strażnik, domniemane

źródło opresji... Ktoś, do czyjego patronatu przyznawać może się wielu – w geście takim nie ma nic dziwnego czy zaskakującego, gdyż skala oddziaływania Sławińskiego była ogromna – jest zarazem postacią kłopotliwą, bo w porównaniu ze Sławińskim wypada się zwykle mniej lub bardziej blado... Autorytet, który uzasadnia i niejako usprawiedliwia sens przedsięwzięcia badawczego zwanego teorią literatury, rychło okazuje się osobą kłopotliwą albo nawet niechcianą, bo nie tylko nam pomaga, ale również niejako wciąż zagląda przez ramię, gdy piszemy swoje nowe książki... Ponadto ta świadomość, że to (oczywiście) Sławiński najlepiej opisał (bo sam zaprogramował?) swój sposób oddziaływania: „oddziaływanie efektywne, ale niedostrzegalne; inspirowanie, ale skryte; wyciskanie własnego piętna na bieżących opiniach, ale tak, by mogły dalej uchodzić za dobro niczyje. Obecność pozorowana nieobecnością” (*Bez przydziału* (VIII)). Dziś słowa te brzmią inaczej: zaczyna się nowy etap gry między obecnością a nieobecnością, prawdą a pozorem.

Wśród ambiwalencji osobne miejsce zajmuje powiązanie myśli Sławińskiego z losami strukturalizmu. Krytyka strukturalizmu bywała w Polsce powierzchowna i często pospieszna, jakby niepewna swego. W najlepszych wersjach stawała się sposobem nawiązywania do strukturalizmu, narzędziem wykrzyca tego, co w nim nadal żywe i zapładniające. Była czymś naturalnym dla nas wszystkich, którzyśmy od pierwszego roku studiów uczyli się fachu na podstawie lektury licznych artykułów Sławińskiego, byli egzaminowani z ich rozumienia i odruchowo buntowali się wobec nich. A potem czuli się coraz bardziej nieswojo i dziwnie, dochodząc rychło do wniosku, że pozytywny związek Sławińskiego ze strukturalizmem był słabszy niż negatywny związek tych, którzy najgłośniejszemu oddawali się krytyce strukturalizmu. Dziś skłonny jestem myśleć, że wartość dzieła, które Sławiński nam pozostawia, pozostaje w luźnym związku ze strukturalizmem. Sławiński to osobowość zbyt wybitna, niezależna, autonomiczna, nazbyt silna, aby pozwolić się zamknąć w ramach jakiejś doktryny. Zatem – Pierwszy Polski Poststrukturalista? Bez wątpienia Włodzimierz Bolecki ma sporo racji, obdarzając Sławińskiego w swoim wstępie do jego *Prac wybranych* mianem PPP. Choć – by rzec prawdę – nie umiem oprzeć się przekonaniu, że im mocniej wpisujemy Sławińskiego w jakiś nurt, tym łatwiej odnajdziemy go gdzie indziej. Co mówię samokrytycznie jako autor szkicu o teorii interpretacji sformułowanej przez Sławińskiego.

Inną ważną ambiwalencję przedstawił Erazm Kuźma w znakomitym szkicu *Metafory Sławińskiego*, opublikowanym w jubileuszowym, dedykowanym Sławińskiemu na 60-lecie, numerze „Tekstów Drugich” (Kuźma także zmarł w tym roku – to mój pierwszy Nauczyciel). Pisał, że ewolucja Sławińskiego przebiega od pragnienia wiedzy i ścisłości do pochwały anegdoty, fabularyzacji i ludyczności. Tak jakby Sławiński uwalniał się spod władzy zbudowanego przez siebie dyskursu i ponownie rodził się – wreszcie prawdziwie wolny. Wolny od wcześniej narzuconych sobie przymusów i na tyle silny, by bawić się własnymi prawdami. „Cokolwiek jednak Sławiński [w tej nowej sytuacji] zrobi – pisał Kuźma – nigdy nie będzie tak zwanym wielkim humanistą. Żeby nim zostać, trzeba być trochę ograniczonym. Sławiński zaś jest piekielnie inteligentny”. To wielce zastanawiające zdania. Kuźma, rzecz jasna, nie odmawia Sławińskiemu miana wielkiego humanisty, przeciwnie – fakt, że miano to przysługuje mu jak mało komu, potwierdza w sposób najbardziej dobitny z możliwych, bo przewrotny i paradoksalny. Kuźmie nie chodzi też chyba

o to, że zwykle obdarzamy tytułem wielkiego humanisty kogoś, od kogo nie potrafimy już czerpać inspiracji i czyja wielkość tyleż nas przytłacza, ile zaczyna mało obchodzić. To przecież w gruncie rzeczy niezbyt odkrywczą obserwacją. W czym zatem rzecz?

Domyślałam się, że w pewnym sposobie bycia autorytetem. Sławiński w jakiś zadziwiający sposób mówi o sobie. O swej drodze naukowej, bez wątpienia przebiegającej z dużą konsekwencją, pisze: „siedziałem sam i po omacku”. O swym pokoleniu (i o sobie) powiada, że niczego nie zainicjowało, lecz zabrało się na pociąg, który już znajdował się w ruchu – a przecież wiemy, że dorobek polskiej szkoły strukturalnej jest uderzająco oryginalny. Na pytanie zadane w jednym z wywiadów, czy czuje się mistrzem i czy ma uczniów, dwa razy odpowiada przecząco – sam sobie nie jest wierny, dlaczegóż by ktoś miał pozostawać wierny jemu? Pytany o „uczniów pośrednich”, tych wychowanych na jego pracach, Sławiński wypowiada się tak surowo, jakby na niczym mu nie zależało bardziej niż na tym, aby nie wpaść w kokietery lub dwuznaczny patos: „A niby co ma z nimi być? Czytali, czegoś się dowiedzieli albo nie – i w porządku. Na tym nasze relacje się wyczerpały”. „Niczego od niego [tj. swojego ucznia] nie oczekuję, tak jak on nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań”. Ten chłód Sławińskiego wydaje mi się wspaniały! Jest w nim jakaś ukryta powaga – i dystans. Surowość wobec siebie i wysokie wymagania wobec innych. Przekonanie o potrzebie odmienności – i świadomość ceny, jaką się za to płaci. Brak oczekiwania na uznanie, nagrody i hołdy – i wierność własnym wyborom.

Na koniec – jedno wspomnienie. Jest rok 2001. W rozmowie na stronie dziękuję Profesorowi za recenzję swojego doktoratu. Jest pochlebna, jestem bardzo dumny, w słowach nazbyt wylewnych składam podziękowania i zarazem usiłuję wytłumaczyć, jak wiele nauczyłem się z prac Profesora. Profesor słucha z miną nieco podejrzliwą, a potem mówi z błyskiem w oku: „Nie ma za co, nie ma za co – czytałem bez przykrości”. Nie przeczę, byłem trochę zawstydzony i pomieszany. I nadal jestem. Moje słowa – podziękowania niezręcznie uciekające od patosu. Słowa Profesora Sławińskiego – ironiczne i przyjazne.

*Andrzej Skrendo*